GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 KWIETNIA 1938 R.

Nr. 7 ROK VIII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 7

1938 R.

1 — IV

JÓZEF PONIATOWSKI

WIELKI WYCHOWAWCA

Ci wszyscy, którzy mieli szczęście poznać bliżej Władysława Grabskiego, albo jego dorobek, musieli odnieść wrażenie, że wielki obywatel i mąż stanu odszedł nie doceniony i nie zrozumiany. Zamieszczone przez całą prasę obszerne życiorysy i słowa uznania pozostawiły uczucie niedosytu a nawet niesprawiedliwości. Jakieś nieświadome pomniejszenie postaci, spłycenie roli, odegranej w życiu narodu, wynika z wyliczenia, że oto tyle razy był ministrem i premierem, że tyle dzieł napisał, tak wysokie otrzymał odznaczenie. Tkwi w tem mimowolna sugestia, jakoby osiągnięte stanowiska, tytuły czy ordery mogły być wystarczającą miarą Jego życia. Sugestia tem bardziej fałszywa, im bardziej jednostka wyrasta ponad przeciętny poziom choćby tak elitarnych zbiorowości, jak ministrowie, czy kawalerowie Białego Orła. Nie to przecież jest ważne, że Władysław Grabski był szefem rządu, ale, że jako szef rządu potrafił w warunkach parlamentarnego partiowładztwa nie tylko stworzyć autorytet, ale zjednoczyć społeczeństwo przy realizacji bardzo twardego nieprzyjemnego programu gospodarczego. Nie to jest ważne, że był ministrem skarbu, ale to, że stworzył podstawy waluty i gospodarki finansowej, że wprowadził obyczaj płacenia podatków, co nie udało się żadnemu z jego poprzedników.

Różne przyczyny złożyły się na zbyt skromny szacunek pozycji, która pozostanie w historii pod tytułem: Władysław Grabski. Jego własna skromność i prostota, pozwalająca zapominać o dystansie, który Go dzielił od przeciętności; brak wszelkiego dążenia do rozgłosu własnej osoby, przy najwyższym wysiłku rozpowszechnienia swych poglądów; surowa niezależność sądów własnych, przy ascetycznym unikaniu wszystkiego, co mogłoby być pochlebstwem wobec osób, grup, czy całego społeczeństwa; stanowisko ponadgrupowe i chłodne w ostatnich latach stosunki z obozami politycznymi; zainteresowania zwracające się coraz bardziej ku wsi, a więc tematowi obcemu i obojętnemu, wbrew frazesom, dla większości opinii inteligencji miejskiej; sięganie myślą daleko w przyszłość, gdy prasa i publiczność interesują się aktualnością.

Trudność znalezienia właściwej oceny Władysława Grabskiego wynika także z jego wielostronności. „Gdy stoimy — pisze p. Franciszek Dziedzic [1]) w najpiękniejszym może artykule, jaki pamięci Władysława Grabskiego poświęcono — na rozdrożu, w którym już nie padną nigdy, jak zwyczajnie padały, proste Jego i żarliwie wypowiedziane prawdy, to nie wiemy z jakiego powodu dziś większą jest strata. Czy dlatego, że ubył Grabski polityk, czy Grabski uczony, człowiek wielkiego serca, czy człowiek wielkiego umysłu". Myślę, że rozwiązaniem tego dylematu nie może być wybór jednej z alternatyw, gdyż to właśnie stanowiłoby jednostronne wypaczenie i pomniejszenie obrazu. Grabski był wybitnym politykiem, wybitnym ekonomistą i socjologiem, ale jeśli uważamy przymiotnik „wielki" za określenie wyjątkowe, którym nie wolno szafować, które chcemy zachować dla jednostek rzadkich, znakomicie przerastających ogół, to od wielkiego polityka musielibyśmy wymagać zwycięstw i utrwalenia zdobyczy, gdy Grabski odszedł od steru rządów nie w tryumfie, ale w rezygnacji. Od wielkiego uczonego żądamy wytyczenia nowych dróg, pchnięcia naprzód nauki jako takiej, wykrywania związków i zależności o charakterze powszechnym. Grabski położył niespożyte zasługi około

[1]) Zespół Nr 1, 1938, „Władysław Grabski — mąż stanu i uczony".

poznania polskiej rzeczywistości, śmiało może być nazwany ojcem współczesnej polskiej wiedzy o wsi, ale zbyt gorąco odczuwał potrzebę praktycznego przekształcania rzeczywistości, aby mógł większe wysiłki poświęcić czystej nauce. Sam też szczerze się kiedyś obruszył, gdy Go ktoś nazwał wielkim ekonomistą.

Człowiekiem wielkiego serca był niewątpliwie, ale wartość tej cechy charakteru niepomiernie urasta w tak, niestety, rzadkim połączeniu z wielkością umysłu, z niezmordowaną i ofiarną do ostatnich chwil życia pracowitością i z wolą, konsekwentnie realizującą zamierzenia. Dzięki temu harmonijnemu połączeniu, *wolno bez jakichkolwiek zastrzeżeń użyć określenia „wielki" wobec Władysława Grabskiego jako człowieka i jako obywatela.*

Znakomitą próbą tej wielkości wydaje mi się ostatni okres życia Władysława Grabskiego, już po odejściu od życia politycznego i po objęciu władzy przez obóz, do którego nie należał i którego w zasadzie był przeciwnikiem. Wiemy, że nie wszyscy nasi wybitni politycy dobrze wytrzymali taką próbę przejścia od pełni władzy i rozgłosu do utraty wszelkiego bezpośredniego wpływu. Byli tacy, którzy w podobnej sytuacji „obrażali się na niewdzięczną Polskę", wiemy o innych, którzy nie wahają się dla zaspokojenia podrażnionej ambicji zaostrzać nieodpowiedzialnej taktyki opozycyjnej aż do walki z prawem i szerzenia anarchii, albo do oczerniania własnego państwa wobec obcych.

Jakże inną i jak piękną postawę zajął Grabski. Nie rezygnuje on ani na chwilę ze swych poglądów, broni ich z pełną godnością w słowie i w piśmie, nie zaprzestaje rzeczowej krytyki tego, co uważał za złe i wymagające zmiany, ale równocześnie dostrzega i podnosi pozytywny dorobek swych następców i przeciwników, a co więcej, szczerze się cieszy tym dorobkiem. Jego krytyka nie zawiera złośliwości, nie jest wyrazem goryczy, ani gry intelektualnej, ani chęci wykazania własnej wyższości. Po prostu stawia cele, o których słuszności jest najgłębiej przekonany i tłumaczy, jak się do nich przybliżyć. W ocenie przeszłości nie obawia się wytykać własnych błędów, im też przypisywał niepowodzenie 1925 r. Stara się zawsze zrozumieć przeciwnika i raczej zakłada jego dobre nie zaś złe zamiary.

Nie łatwo poszło Grabskiemu zrozumienie Józefa Piłsudskiego. Jego organizacja psychiczna skłania do umiłowania metod ewolucyjnych, organicznych, wstrząsa się przed rewolucyjnością, nie uznaje metody „faktów dokonanych" wobec własnego społeczeństwa. Należy i to mieć na uwadze, że środowisko, w którym się Grabski przeważnie obracał, było zdecydowanie Piłsudskiemu wrogie. Wie jednak, że do dziejowych postaci, wykuwających rzeczywistość, nie można stosować doktrynerskiego szablonu, widzi olbrzymie zasługi Marszałka, zadaje sobie trud ich obiektywnego przemyślenia i wreszcie osiąga w ostatnich latach to zrozumienie roli Wodza Narodu, któremu daje wyraz w „Idei Polski", wyraz jak najbardziej daleki od oportunistycznych „nawróceń" ludzi małej wiary.

Osią zainteresowań i prac Grabskiego była przez całe życie wieś polska. By właściwie ocenić postawę Grabskiego wobec wsi, należy brać pod uwagę, że nie tylko wychował się we dworze, ale nigdy się nie wyparł przynależności do warstwy ziemiańskiej, bolał nad jej zacofaniem i ciasnotą, usiłował rozszerzyć jej horyzonty. Wykształcenie historyczne i ekonomiczne w dobie pozytywizmu dało mu realizm myślenia daleki od czułostkowości, czy snobistycznego „chłopomaństwa". Skoro jednak, drogą trzeźwej analizy doszedł do niezłomnego przekonania, że przyszłość kraju zależy od tego, jakim będzie chłop polski, oddaje się bez zastrzeżeń i w całości pracy nad tem, by egzamin historii wypadł najlepiej. Doprowadził Go do tego chłodny rozum, ale w pracę swą wkłada Grabski potężny zasób uczucia.

Dzisiejszego chłopa bynajmniej Grabski nie idealizuje, ani mu nie pochlebia. Zdaje sobie doskonale sprawę z jego wad, w szczególności z małej wytrwałości w pracy, rozumie także, że lud wiejski stoi jeszcze na niskim szczeblu kultury. W niedostatku kultury widzi Grabski naczelną przyczynę nieumiejętności stworzenia sobie dobrobytu, a zarazem walną przeszkodę w przemianie chłopa jeszcze o psychice pańszczyźnianej w świadomego obywatela swego kraju. Rozumiejąc, że postęp gospodarczy wymaga także wielu warunków zewnętrznych, dobrej polityki gospodarczej itd., największy wysiłek wkłada w przyswojenie społeczeństwu tezy, że najważniejszą i najpilniejszą potrzebą rozwojową Polski jest podniesienie ogólnej oświaty na wsi, oświaty, która by nie tylko dawała sumę wiadomości, ale istotnie podnosiła kulturę włościaństwa, dawała zdolność pokonywania trudności gospodarczych i zapewniała udział w postępie, a równocześnie uświadamiała obowiązki wobec zbiorowości, wobec Państwa. Gdy Grabski zwraca się do samych włościan, jest zawsze prosty i szczery, nie rzuca komunałów, ale stawia wymagania, żąda, by się czuli odpowiedzialni za wspólne dobro — Państwo, bo nikt inny na stałe tej odpowiedzialności ponieść bez nich nie może.

Głęboko rozumiejąc niedostateczność wszystkiego, co dotąd wiemy o życiu wsi, zarówno w sensie społecznym, jak gospodarczym, Grabski poświęca wielką część swych wysiłków poznaniu wsi i przyswojeniu społeczeństwu wyników tego poznania. Sam i przez swych uczniów przeprowadza liczne badania, powołuje do życia Instytut Socjologii Wsi, stara się zapoznać z wynikami badań prowadzonych przez innych, cieszy się z każdego nowego osiągnięcia na tym polu. Wnioski przetapia odrazu na wskazania praktyczne i nie cofa się przed konkluzjami najbardziej nieprzyjemnemi dla warstwy, z której wyszedł. Stwierdzenie przez tego raczej z natury zachowawczego ziemianina konieczności reformy rolnej nie ma nic wspólnego z grą taktyczną, albo zdawkowym frazesem. Na rzecz potrzeby parcelacji rzuca Grabski ważkie studia, gromadzi dowody większej produktywności drobnych gospodarstw, poświęca głębokie rozważania zagadnieniu typów gospodarstw, które należy tworzyć, co przyczynia się bardziej realnie do pogłębienia świadomości potrzeby reformy, niż się to udaje wielu zagorzałym radykałom. Nie ma w tem ani źdźbła niechęci do gospodarstw folwarcznych, czy chęci ich niszczenia, jest tylko przeświadczenie, że ustrój agrarny powinien jak najbardziej współdziałać w podnoszeniu kultury duchowej i materialnej wsi.

Przy całym realizmie rozumowań wiara Grabskiego w wyniki pracy oświatowej jest tak silna i tak przepojona starannie skrywanym uczuciem, że czytelnik lub słuchacz niejednokrotnie czuje się porwany tchnieniem romantyzmu. Gdy np. mówi o koniecznym uprzemysłowieniu kraju i rozwoju miast, jako o procesach, które powinny wyrosnąć z kultury wsi i w organicznym z nią związku, — okazuje się śmielszym od ogółu naszych ekonomistów i publicystów. Rzucając społeczeństwu gorzkie prawdy, ani na chwilę nie tracił wiary w zdrowie wiejskiej podstawy narodu i w możność wydobycia z tej podstawy olbrzymich wartości twórczych.

Nie mniej charakterystyczną była postawa Grabskiego wobec młodzieży, a w szczególności wobec początkujących badaczy, publicystów czy działaczy wiejskich. Ani cienia tak częstej w starszym pokoleniu zazdrosnej niechęci, zgorzkniałej krytyki lub protekcjonalnej pobłażliwości. Postawę tę charakteryzowały: radość z każdego szczerego poczynania, rzetelnie przyjacielska porada i zachęta, prostota, zacierająca wszelkie różnice między nauczycielem i uczniem. Nie żałował na te porady czasu i wysiłku nawet wówczas, gdy już wiedział o zbliżającym się końcu i usiłował pozostałe, nieliczne miesiące życia oddać bez reszty społeczeństwu.

Poznanie postawy Grabskiego wobec ojczyzny, społeczeństwa, wsi, młodzieży, walk i programów politycznych, własnej pracy i pracy cudzej wydaje się mieć wielki walor wychowawczy. Wpływ wychowawczy Grabskiego na całe współczesne pokolenie związane ze sprawami wsi jest niewątpliwie olbrzymi. Warto, by wpływ ten uległ dalszemu pogłębieniu i rozszerzeniu, by ogarnął w wyższym stopniu także inteligencję miejską. Bezpośrednia praca pedagogiczna była tylko cząstką oddziaływania tego *Wielkiego Wychowawcy.*

Właściwym uczczeniem Władysława Grabskiego i pełną satysfakcją dla Jego ducha będzie chwila, gdy cały lud polski, oświecony i przodujący w kulturze innym narodom, poczuje się głęboko odpowiedzialnym za losy kraju. Na drodze do tego celu widzę pewien pozornie drobny, ale przecież realny etap: wydanie zbiorowe pism Władysława Grabskiego, dziś nadmiernie rozproszonych, byłoby skromnym ale celowym wyrazem wdzięczności dla wielkiego obywatela, który się cały spalił na ołtarzu służby powszechnej.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

REFLEKSJE „PO-AUSTRIACKIE"

„Anschluss" jest jeszcze jedną lekcją realizmu politycznego dla krajów Europy środkowej i wschodniej, o niskim poziomie dochodu społecznego ludności.

I znów mamy temat dla rozmów i dociekań. Zabór Austrii przez Rzeszę należy do tych wielkich wydarzeń na arenie politycznej świata, które wyrastają ponad kalejdoskop wypadków życia codziennego i dają temat do rozważań nawet dla tych, u których „myśl nie trwa ani godziny". Warto doprawdy na taki temat napisać do „Gospodarki" to, co nazywa się „aktualnym artykułem"...

Nie możemy o tym fakcie mówić wyłącznie z punktu widzenia przemian gospodarczych, jakie za sobą on pociągnie. Było by to sztucznym zwężaniem tematu. Przemiany będą wielkie — większe, niż wielu sobie na pierwszy rzut oka wyobraża. I nie dlatego, że Niemcy odziedziczyły po wiedeńskim Nationalbanku tyle to i tyle złota i dewiz, albo że uzyskały cenne dla wykonania ich planu czteroletniego surowce — chociażby w tak minimalnych stosunkowo ilościach, w jakich im ich udzieli „Land Oesterreich". Albowiem nikt jeszcze w tej chwili przewidzieć nie może, w jakiej mierze owa sui generis „Mitteleuropa", tworząca się w zgoła odmiennych warunkach od tych, które istniały w okresie, gdy o „Mitteleuropie" dużo i często się mówiło, oddziała na równowagę polityczną w Europie południowo-wschodniej — i dalej jeszcze: ku dorzeczu Tygrysu i Eufratu, postępując dawno już przez politykę berlińską nakreślonym szlakiem „drei B" — Berlin-Byzancjum-Bagdad... Już w tej chwili dwie trzecie wywozu bułgarskiego i przeszło połowa węgierskiego lokowane są na obszarze „Grossdeutschland". A nie mówimy tu jeszcze ani o Jugosławii, ani o Turcji, ani o Grecji...

To wszystko jest jeszcze w tej chwili — pro futuro. Ale, jak z samego tytułu naszych uwag wynika, pragnęlibyśmy dziś zatrzymać się jeszcze przez pewien czas na przeszłości. Jakże się to wszystko tak szybko stało? Dlaczego, mianowicie, musiało to być „konieczne" — jeśli rzeczywiście nim było? Jakim sposobem w środku Europy, „w biały dzień", bez jednego wystrzału i bez żadnych zamieszek wewnętrznych i zewnętrznych ginie z powierzchni ziemi państwo, rząd, armia, administracja wraz z całym bagażem atrybutów państwowej suwerenności? Musiały być przecież jakieś bardzo poważne przyczyny, jakieś niezmiernie głębokie źródła, pozwalające na tak piorunujące przeobrażenia. Swego czasu zastanawialiśmy się na tymże miejscu nad podbojem Abisynii przez Włochy i staraliśmy się znaleźć dla tego faktu możliwie realne obiektywne uzasadnienia. Ale „casus Austriae" jest od doświadczenia abisyńskiego bez porównania przecież bardziej skomplikowany. Czy nie da się jednak i dla niego wyprowadzić takiej właśnie diagnozy „ex-post", diagnozy, jaką oko uczonego zwykło ustalać zazwyczaj na użytek ludzki po zamęczeniu na śmierć przysłowiowego „królika doświadczalnego"?...

*
* *

Wojna światowa rozbiła Austro-Węgry ale zachowała Austrię. Zachowała właściwie bez jej specjalnej po temu woli, a za to wyraźnie wbrew woli Niemiec. Republice weimarskiej, która przewidziała w swej konstytucji przyłączenie Austrii do Rzeszy, rozkazano to „pium (podówczas...) desiderium” skreślić. Samej Austrii zabroniono wybranej przez nią nazwy „Deutsch-Oesterreich”, aby zerwać nawet ten werbalny związek jej z niemczyzną. To wszystko — w myśl koncepcji pokoju wersalskiego, każącego w interesach koalicji utrzymywać możliwie wielkie rozdrobnienie polityczne w basenie naddunajskim, aby mała ententa mogła spokojnie i bez trosk zewnętrznych odegrać przeznaczoną dla niej rolę. W całej tej kombinacji nie pomyślano tylko o jednym...

Nie pomyślano o tem, z czego właściwie ów mały organizm państwowy z sześcioma milionami mieszkańców, z których dwa miliony skoncentrowanych w wielkim Wiedniu, będzie żył... A aspiracje do życia Austriacy przecież mieli. Nienadarmo składała się na nich praca wszystkich „narodów”, zamieszkujących czarno-żółte imperium, nie wyłączając nawet w pewnej mierze i Węgrów, którzy dopiero w ostatnich dziesiątkach lat przed wojną poczęli coraz to silniej bronić swych interesów przed Wiedniem — odgrywając się zresztą skutecznie na tych Słowianach i Rumunach, którzy przypadli koronie św. Stefana. Pierwsze lata niepodległości Austrii przyniosły jej — a zwłaszcza Wiedniowi — nędzę. Po uregulowaniu się w pewnej mierze stosunków gospodarczych w Europie poczęły grać dawne „stosunki” Wiednia na terenie międzynarodowym. Austria nie zacisnęła pasa w tym stopniu, w jakim by obiektywne jej warunki powinny były ją do tego zmusić. Być może nawet — nie mogła w ogóle tak ciasno go zacisnąć. W każdym razie owe dawne „stosunki” ułatwiały życie z kredytów zagranicznych. I Austria poczęła żyć dosłownie — na kredyt...

Kryzys w Europie zaczął się na serio w najsłabszym gospodarczo punkcie naszego kontynentu. Krach Creditanstaltu dał pierwszy sygnał paniki kapitałowej 1931 roku. Okazało się jeszcze raz niezbicie, że organizm gospodarczy Austrii nie może w tych warunkach, w jakich pozostawił go traktat w St. Germain, istnieć w sposób mniej więcej normalny. Powiadamy: okazało się — ale konsekwencji z tego nie wyciągnął nikt. Zachodnio-europejscy protektorzy niepodległości Austrii w dalszym ciągu wynajdywali paliatywy. Stworzono dla kraju tego raz jeszcze warunki cieplarniane — kosztem nawet niezbyt prestiżowego posunięcia, jakim była kontrola Ligi Narodów nad finansami austriackimi. Usiłowano projektować sztuczne kombinacje gospodarcze w basenie naddunajskim (plan Tardieu), niewytrzymujące najlżejszej krytyki w obliczu realności politycznych i ekonomicznych (brak rynku niemieckiego...). Wynajdywano „pomoce” gospodarcze, które miały zastąpić uzasadnioną nieufność międzynarodowego kapitału do lokat na rynku wiedeńskim. „Pomoce” te — niezmiernie platoniczne z uwagi na troski samych „protektorów” w obliczu wzmagającego się u nich samych kryzysu — ograniczały się do takich „osiągnięć” jak... zalecenia konferencji w Stresa o udzielaniu dla wywozu austriackiego preferencji celnych, zalecenia, których nikt na serio nie uznał i które sprowadziły się do mniej lub więcej tajnych a zawsze drobnych ustępstw na rzecz austriackiego wywozu, z których — notabene — często (jak w wypadku sławnej preferencji drzewnej dla Austrii we Francji) gospodarstwo austriackie nic nie korzystało. Starano się *nie widzieć* rzeczywistości, negować rozwój wypadków, łudzić się pozorami. Wtłoczonej pomiędzy mniej lub więcej autarkiczne organizmy gospodarcze ubogiej i niesamowystarczalnej Austrii kazano prowadzić politykę gospodarczą na modłę „klasycznych” genewskich zaleceń. Jeszcze w r. ub. Komitet Ekonomiczny Ligi Narodów stawiał Austrię „za wzór” innym krajom dłużniczym jako to państwo, które pierwsze (i jedyne...) w Europie rozluźniło — wprawdzie przy pomocy finansowej zagranicy i pod jej kontrolą — ograniczenia dewizowe...

Skutki tej zabawy nie dały, oczywiście, na siebie czekać. Austria miała przy pomocy zagranicznej zadużo, aby umrzeć, ale stanowczo za mało, aby żyć. Z końcem 1937 r. liczba bezrobotnych wynosiła w tym kraju, liczącym 6,7 milj. mieszkańców, przeszło 268 tys. głów. Wynosi to 4% całej ludności kraju — liczbę fantastyczną, zważywszy, że w tymże czasie np. we Francji, której słaba koniunktura gospodarcza jest przecież notorycznie znana, procent bezrobotnych w stosunku do ogółu ludności nie przekracza 1%, w Polsce (bez bezrobocia strukturalnego na wsi) oceniany jest na 1,4%, a nawet w Czechosłowacji nie sięga 3%. Obliczano, że na 4 tys. młodzieży, opuszczających corocznie wyższe uczelnie austriackie, zaledwie półtora tysiąca (i to w najlepszym razie...) mogło znaleźć zatrudnienie. Zarobki realne były przy stosunkowo bardzo wysokim poziomie cen (Austria była — licząc ceny w złocie — jednym z najdroższych krajów w Europie) niesłychanie szczupłe. „Moda”, jaka coraz bardziej rozpowszechniała się na Zachodzie Europy w stosunku do uważania Austrii za kraj idealnego turyzmu, przynosiła wprawdzie bilansowi płatniczemu kraju wcale nawet pokaźne zyski, ale stwarzała tę niebezpieczną psychologicznie anomalię, iż najprzyjemniej zaczynało być w Austrii — cudzoziemcom...

Nie piszemy tu dokładnego studium gospodarczego — i dlatego ten szkic sytuacji ekonomicznej powinien wystarczyć dla zdania sobie sprawy, jakie było położenie ludności Austrii *w istocie*. Oparta na fikcji gospodarczej i żyjąca fikcją pomocy zagranicznej Austria (a właściwie sfery, które nią kierowały) stworzyła sobie i fikcję polityczną. Wyobrażano sobie — w najlepszej zresztą wierze i głębokim przekonaniu — że może w czwartym dziesiątku lat dwudziestego wieku istnieć w Europie środkowej kraj dłużniczy i ubogi, reprezentujący jak gdyby gwarantowany przez cały świat cywilizowany ośrodek starej kultury, swobody myśli, beztroski i nieskrępowania — wbrew wszelkim obiektywnym przesłankom, przemawiającym przeciwko temu istnieniu. Tak jak gospodarczo Austria miała żyć pomocą finansową i turyzmem z zagranicy — tak i polityczne istnienie jej miało opierać się na ukochanych w słowniku dyplomatycznym krajów posiadających — „gwarancjach”. Żaden najżarliwszy nawet zwo-

lennik niepodległości austriackiej (a było ich przecież niemało — czy to na skutek reakcji przeciwko stosunkowi III-ej Rzeszy do katolicyzmu, czy z wysubtelnionych odczuć indywidualistycznych, czy wreszcie wprost — z zadawnionej niechęci i pogardy dla „barbarzyństwa" północnego sąsiada) nie liczył się z tem, aby Austria nie tylko *mogła* się czynnie obronić, ale nawet z tem, aby *miała* się bronić. Liczono tylko i wyłącznie na pomoc zzewnątrz, a — dokładniej — na taki układ stosunków, w którym antagonizmy wielkich mocarstw w Europie środkowej utrzymywałyby na stałe ową niemogącą się przed nikim bronić niepodległość. Bella gerant alii — tu felix Austria... Jeśli nie „małżeństwem" jak w dewizie Habsburgów, to przynajmniej siłą inercji.

* * *

Świat, karmiony od dłuższego czasu wieściami o germanofobii Austriaków, o podstawowej różnicy kultury niemieckiej i austriackiej, o „znacznych postępach", jakie przy pomocy zagranicy zrobiła Austria dla wydźwignięcia się z kryzysu itd. itd. itd., ten świat zdumiał się, skoro dowiedział się o triumfalnym pochodzie dywizji bawarskich i wirtemberskich ku Wiedniowi. Raz jeszcze okazało się, czem są t. zw. autorytatywne opinie tych, którzy chcieliby widzieć wszędzie stosunki skonstruowane na modłę własnych, tych — które u nich samych związane są jaknajściślej i wypływają niejako z sytuacji gospodarczej, politycznej i społecznej ich krajów. Raz jeszcze okazało się, że jedyne, co ma wagę w kalkulacjach politycznych czy gospodarczych, jest tak stale zapoznawana i przeinaczana „réalité des choses".

Któż miał się w Austrii bronić? Przede wszystkiem — jak to już powiedziane było powyżej — liczono uparcie i ślepo w tym kraju na możliwość utrzymania się nadal owego „łatwego życia", do którego ośrodek monarchii habsburskiej był przecież od wieków przyzwyczajony bardziej od innych. Następnie—liczono na „gwarancje" z zewnątrz. Lekkomyślność i beztroska jest u narodów równie nieuleczalna jak u jednostek. Ponadto zaś była w Austrii ogromna część społeczeństwa, która wyraźnie i zdecydowanie pragnęła związku z Rzeszą. Pragnęła jej bezrobotna i zapalna młodzież, dla której mit „wielkich Niemiec" był jedynym, jaki posiadała w kraju, który zawsze patrzał duchowo wstecz a nigdy naprzód, pragnęła jej ludność rolnicza wabiona mirażami wysokich cen rolniczych w Niemczech, pragnęli jej wreszcie wszyscy ci, dla których międzynarodowy (i silnie zażydzony) Wiedeń, Wiedeń eleganckich sklepów dla cudzoziemców i tłumu bezrobotnego lumpenproletariatu, był niewymownie przykrym i bolesnym widowiskiem. Samymi tylko wspomnieniami dawnej świetności ani państwo ani ludność wyżyć nie może.

* * *

Zreasumujmy sobie pokrótce te luźne refleksje. Upatrujemy główną przyczynę zaboru Austrii w *dysproporcji*, istniejącej pomiędzy rzeczywistością a tą fikcją, którą dla tych czy innych powodów i celów stworzono sobie o witalności tego kraju zarówno w samej Austrii jak i zagranicą. Powiadamy umyślnie „dla tych czy innych powodów i celów", albowiem pod tym skrótem rozumiemy te wszystkie nieporozumienia na temat Austrii, jakie rozpoczęły się od traktatu w St. Germain-en-Laye i tyczyły się zarówno jej struktury gospodarczej jak jej charakteru polityczno-narodowego, jak wreszcie jej roli w Europie środkowej (obawa przed powrotem Habsburgów...) czy jej siły odpornej na wpływy z zewnątrz. Tych błędów, wynikających z nieznajomości rzeczy, ale *przede wszystkiem* — z lekkomyślności i autosuggestii dużej części samego społeczeństwa austriackiego) było niesłychanie wiele. Brano własne chęci i pragnienia za rzeczywistość. I to właśnie musiało się pomścić.

Dla każdego kulturalnego człowieka zniknięcie z powierzchni ziemi tego ośrodka starej, arystokratycznej kultury środkowo-europejskiej, jakim był dawny Wiedeń, musi być emocjonalnie przykre. Ale ciągle przychodzi obserwatorowi, który chce być obiektywny, na myśl stare przysłowie o różach i płonących lasach. że „lasy płoną", o tem chyba nikt w Europie środkowej czy wschodniej już dziś nie wątpi. I dlatego komuś, kto by z dni marcowych 1938 roku chciał wyciągnąć naukę dla własnego kraju, z uporem wraca wciąż przeświadczenie, iż nasze pokolenie, niestety, o „różach" myśleć stanowczo nie powinno. A tem mniej rozrzewniać się zbytnio nad tem, że jeszcze jedna — zwiędła.

JÓZEF GWACKI

NOŻYCE INTERWENCJONISTYCZNE

Istniejące trudności stosowania metod interwencyjnych nie zostaną pokonane przez samą zmianę przedmiotów.

W polityce gospodarczej Państwa otwarły się nożyce nowego typu, nożyce interwencjonistyczne. W końcowym ustępie tez Ministerstwa Przemysłu i Handlu z dnia 22.II. r. b. czytamy: „W rezultacie stoimy przed faktem olbrzymiej rozpiętości między ogromem stosowanych środków interwencjonistycznych, a urzędowym i społecznym aparatem wykonawczym, który by te środki należycie mógł wykorzystać. Prowadzi to do dylematu, że liberalnej gospodarki prowadzić nie możemy..., a interwencjonizmem posługujemy się przy pomocy podmiotów nieodpowiednich, w sposób niedostosowany do potrzeb Państwa, jego obronności i życia gospodarczego". Wygląda to na zagadnienie z zakresu techniki administracyjnej. Prawidłowe jednak rozwiązanie każdego problemu technicznego wymaga uprzedniego załatwienia się z jedną, kardynalną przesłanką w postaci ścisłego sprecyzowania celów, którym służy aparat lub metoda techniczna. Zakres interwencjonizmu rozrósł się do takich rozmiarów, że już w chwili obecnej program interwencjonizmu państwowego pokrywa się właściwie z programem polityki gospodarczej Państwa. Czy taki jednolity i konkretny program istnieje? Tezy Ministerstwa Przemysłu i Handlu w sposób nieszczególnie zręczny dają do zrozumienia, że jeszcze... nie. W Nr. 10 „Polski Gospodarczej" p. St. Rz. („Podmioty interwencjonizmu gospodarczego"), usiłuje zatrzeć to wrażenie, a nie chcący stawia kropkę nad „i", tłumacząc, że program rządowy istnieje, ale w formie beletrystycznej. Dosłownie, tłumaczenie brzmi: „Pamiętać należy, że w każdym działaniu polityczno-gospodarczym istnieje stopniowanie celów, które zawsze wymagają ścisłego sprecyzowania, również gdy chodzi o cele szczegółowe, można by powiedzieć wykonawcze. Ustalenie celów polityki gospodarczej jest tylko *literaturą*, tylko koncepcją, a nie realnym działaniem, dopóki nie zostanie rozwinięty i rozłożony na liczne zadania realizacyjne...".

Rozwinięcie programu w hierarchię celów, rozłożenie na etapy realizacyjne — oto cechy istotne odróżniające każdy program koncepcji od ćwiczenia frazeologicznego. Dopóki takiego programu nie ma, wyniki wszelkich prac badawczych nad interwencjonizmem będą dość problematyczne. Rezultaty działalności powołanej przez Ministerstwo Przemysłu i Handlu komisji do badania interwencjonizmu napewno przyniosą masę bardzo ciekawych szczegółów, lecz nie dadzą odpowiedzi na pytanie zasadnicze co do skuteczności obecnie stosowanych środków interwencjonistycznych. Jak można sądzić o skuteczności środków, nie ustalając przedtem kolejności i stopnia ważności celów, którym dane środki powinny służyć? Jeżeli zaś komisja pójdzie na ustalenie hierarchii celów, to tem samem wyręczy Rząd w jego kardynalnym obowiązku ułożenia konkretnego i jednolitego programu gospodarczego. Można wyręczać Rząd w jego obowiązkach, lecz w żaden sposób nie można go zwolnić ani od konstytucyjnej, ani od moralnej odpowiedzialności za program. To samo będzie, jeżeli opracowaniem programu zajmie się jakieś biuro „planowania". P. St. Meyer (Nr. 5 „Gospodarki Narodowej"), wymienia szereg zalążków tego rodzaju biur w naszej przeszłości i teraźniejszości. Laikowi, niestety, przy tej okazji nasuwa się naiwne pytanie, po co istnieje Komitet Ekonomiczny przy Radzie Ministrów i szereg komórek aparatu rządowego o charakterze gospodarczym.

*

* *

Po tej niezbędnej dygresji możemy przejść do właściwego zagadnienia. Zwarcie nożyc interwencjonistycznych można osiągnąć w trojaki sposób: 1) zredukowanie przepisów, reglamentujących życie gospodarcze, i dopasowanie ich liczby do obecnych rozmiarów aparatu wykonawczego, 2) rozbudowa aparatu wykonawczego w stopniu pozwalającym na podołanie ogromowi obowiązujących przepisów, 3) jednoczesne zredukowanie liczby przepisów i rozbudowa aparatu wykonawczego — tak, aby zwarcie nożyc wypadło po linii środkowej.

Zastanówmy się nad tym trzecim sposobem. Zredukowanie liczby przepisów może nastąpić tylko pod warunkiem określenia hierarchii celów interwencjonizmu gospodarczego. Wtedy dopiero można będzie zorientować się, jakie przepisy wypływają z celów mniej ważnych, mniej istotnych.

Rozbudowa i usprawnienie aparatu administracji gospodarczej może nastąpić w ramach budżetu państwowego lub w drodze okólnej, przez utworzenie specjalnego samorządu branżowego. Rzecz jasna, że ta droga okólna będzie kosztowniejsza i bardziej skomplikowana. To są właściwości wszystkich dróg okólnych.

Samorząd branżowy można oprzeć na wzorach korporacjonizmu włoskiego, względnie niemieckiego. Można, ale nie warto. Sens korporacjonizmu polega na całkowitym wyeliminowaniu walki klas i regulowaniu stosunków między pracą, a kapitałem w ramach przymusowej organizacji. Dopóki istnieją wolne związki zawodowe, wolność strejku i lokautu, a ponadto obowiązują specjalne formy ustawowego arbitrażu przymusowego — szczepionka korporacjonizmu będzie pomysłem chybionym. Korporacjonizm jest częścią składową określonego układu politycznego, a w innych warunkach politycznych staje się zbędną, aczkolwiek kosztowną ornamentacją.

Dla samorządu branżowego mamy gotowe, swojskie ramy prawne. Przymusowe zrzeszenia gospodarcze mogą być powołane na podstawie przepisów

V działu Prawa Przemysłowego, a jeżeli chodzi o przemysł węglowy, naftowy i metalurgię — na podstawie przepisów ustaw specjalnych, datujących się jeszcze z roku 1933. W powyższych ramach można stworzyć prawdziwy samorząd, to znaczy taki, w którym władze będą wyłaniane wyłącznie z wyborów. Wtedy jednak powstanie kwestia ochrony poszczególnych grup interesów przed majoryzacją. Samorząd może zrzeszać wszystkie przedsiębiorstwa danej gałęzi, ale nie daje to jeszcze gwarancji przed jednostronnym nastawieniem, przed zmajoryzowaniem jednej grupy przedsiębiorców przez inne. Pozostaje więc w dalszym ciągu jedna z kardynalnych bolączek obecnej struktury organizacyjnej życia gospodarczego (vide: III-cia z tez Min. P. i H.).

Koncepcja samorządu jest swego rodzaju ograniczeniem suwerenności państwowej na pewnym odcinku i dlatego ta koncepcja bez przeszkód może być realizowana tylko w odniesieniu do czysto lokalnych potrzeb i interesów, i to w obrębie niedużej jednostki terytorialnej.

Państwo nie może ograniczyć własnej suwerenności w podstawowych zagadnieniach przemysłu, tam, gdzie wchodzi w grę interes publiczny oraz interesy nie tylko przedsiębiorców, lecz również innych warstw ludności: robotników, konsumentów itd. Ingerencja Państwa w razie powołania samorządu branżowego musi być zagwarantowana, bądź w formie nominacji władz samorządowych, bądź też w formie zachowania instancyjności. W pierwszym wypadku będziemy mieli maskaradową zabawę w samorząd. W drugim wypadku, powracamy do koncepcji rozbudowy aparatu państwowej administracji gospodarczej w wyższych instancjach, komplikując jednocześnie tryb postępowania administracyjnego.

Bądź, co bądź, stosunek między pierwszą a drugą instancją administracyjną jest bardziej prosty, niż między instancją „samorządową", a wyższymi szczeblami administracji państwowej. Procedura będzie jeszcze bardziej zagmatwana, o ile uwzględnić stosunek samorządu branżowego do izb przemysłowo-handlowych. A nie wolno zapomnieć, że właśnie weszliśmy w okres wyścigu kompetencyjnego w dziedzinie interwencjonizmu, o czem świadczy nowy program działalności samorządu przemysłowo-handlowego. podany w referacie dyr. Jakubowskiego na ostatnim plenarnym zebraniu warszawskiej izby przemysłowo-handlowej.

W ramach samorządu branżowego nie można osiągnąć ani jednolitości, ani koncentracji dyspozycji w zakresie interwencjonizmu.

Do najpoważniejszych rozgałęzień interwencjonizmu należą: polityka socjalna i podatkowa, dostawy i zakupy państwowe oraz kredyty państwowe. Nie jest do pomyślenia, aby samorząd branżowy objął funkcje inspekcji pracy, administracji skarbowej lub pośrednictwa przy dostawach i zakupach państwowych.

Pozostaje droga najprostsza i najbardziej celowa: rozbudowa i usprawnienie państwowej administracji gospodarczej i to „in capite et in membris".

Do usprawnienia „in capite" należało by zaliczyć następujące posunięcia. Ścisłe rozgraniczenie kompetencji między poszczególnymi ministerstwami gospodarczymi, uproszczenie i skrócenie krzyżowej drogi międzyministerialnego „uzgadniania". Nie mniej ważną jest rewizja statutów organizacyjnych poszczególnych ministerstw gospodarczych w kierunku usunięcia dublowania funkcyj przez wewnętrzne komórki organizacyjne. Wreszcie najważniejszą jest zmiana wytycznych polityki personalnej. W tym względzie wystarczy wskazać na wysuwane od szeregu lat postulaty urzędnicze, jak stabilizacja, oparcie polityki personalnej na kryterium fachowości i t. p.

Najcięższego wysiłku wymaga reforma administracji gospodarki „in membris". W chwili obecnej organy administracji gospodarczej niższych instancyj są tylko doczepką do t. zw. administracji ogólnej. Koniecznością jest wyodrębnienie jednostek administracji gospodarczej, ustalenie form współdziałania z administracją skarbową i inspekcją pracy, radykalne zwiększenie etatów.

Nic nie stoi na przeszkodzie na wciągnięcie do administracji gospodarczej czynnika fachowego chociażby przez wykorzystanie instytucji rzeczoznawców, już stosowanej w szerokim zakresie, np. w administracji skarbowej. Pozatem dla najważniejszych spraw można przewidzieć kolegialny tryb załatwiania z udziałem komisji lub ławników, rekrutowanych z pośród czynnika fachowego.

Niestety, ale tylko przez zwiększenie aparatu kontrolnego, możliwe jest usunięcie szeregu niedociągnięć interwencjonizmu gospodarczego, o których wspominają tezy Min. P. i H. Przykładowo wymienię zagadnienie „pachtu" w interwencjonizmie, zagadnienie wykonywania t. zw. interwencjonizmu prywatnego przez kartele. Obroty i doniosłość funkcyj niejednego kartelu napewno nie są mniejsze, niż obroty i funkcje jakiejś prowincjonalnej giełdy towarowej. Czyżby nie należało przy najważniejszych kartelach ustanowić stałych komisarzy rządowych?

Opinie organizacyj gospodarczych są przeważnie jednostronne. Tylko stały nadzór nad organizacjami gospodarczemi pozwoli zorientować się w faktycznej strukturze i wewnętrznym życiu organizacyjnym, a tem samem pozwoli uchwycić interesy pomijane lub majoryzowane w łonie danej organizacji. Takie wyjście jest o wiele prostsze, niż puszczenie w ruch ciężkiej i skomplikowanej maszyny przymusu organizacyjnego.

W zakończeniu chciałbym poruszyć kwestię niepewności gospodarczej, rzekomo organicznie związanej z interwencjonizmem. Na to jest jedna rada, polegająca na najdalej idącym ograniczeniu t. zw. dowolnego uznania przy reglamentowaniu, koncesjonowaniu i kontyngentowaniu. Przydział koncesyj, uprawnień, ulg, kontyngentów i t. p. powinien być oparty na ściśle sprecyzowanych, jawnych warunkach.

Zło tkwi w rozciągliwości zakresu dowolnego uznania, swobodnej interpretacji i żonglowaniu klauzulą interesu publicznego. Ale to zło może być zakorzenione tak samo w działaniu urzędnika samorządu gospodarczego, jak i w działaniu urzędnika administracji państwowej.

U W A G I

A CHŁOP CZEKA

że niema jednego lekarstwa na niedolę polskiej wsi, wiemy chyba wszyscy, aczkolwiek w dyskusji o tem czasem zapominamy. Równoległość działań polityki rolniczej jest dziś zasadniczym warunkiem i probierzem wartości tej polityki. Musimy z konieczności pogodzić się z faktem, że przez czas bardzo długi, którego końca nawet nie dostrzegamy, w strukturze agrarnej Polski istnieć będzie poważny odsetek gospodarstw niesamowystarczalnych. Samo już określenie „niesamowystarczalności" nasuwa prosty wniosek o potrzebie uzupełnienia nie wystarczających wpływów rolniczych wpływami, pochodzącymi z innych źródeł. I tutaj przychodzimy do jednego z działań bardzo instotnego, a dotychczas praktycznie nie postawionego w jednym szeregu z innymi — aczkolwiek uznawanego teoretycznie — do organizowania zajęć ubocznych na wsi.

Wiejskie zajęcia uboczne, w warunkach polskiej wsi, powinny znaleźć swoją własną rolniczą „doktrynę" działania, nie wzorowaną na jakichkolwiek pokrewnych wzorach. Zasadniczy dla małorolnej wsi problem zajęć ubocznych sprowadzany jest dotąd na utarte i błędne szlaki trzech pojęć: przemysłu ludowego, przemysłu domowego i pracy chałupniczej. Kryteria i technika oddziaływania wywodzą się przede wszystkiem albo z dążności do ochrony i rozwoju ludowej twórczości artystycznej albo z miejskich stosunków chałupniczych. Rodząca się koncepcja wiejskich zajęć ubocznych jest natychmiast wtłaczana w ramy albo miejsko - chałupnicze, albo — nie rokujące większego zasięgu — artystyczno - ludowe.

Do kilkumilionowej, rozsypanej po całym kraju ludności małorolnej nie można jednak stosować ram, które tam zupełnie nie pasują. Zręby „doktryny" zajęć ubocznych powinny być dosyć samoistne, odbiegające od przyjętych szablonów wspomnianych wyżej zajęć zarobkowych, pielęgnowanych przez zwolenników dotychczasowej tradycji. Tradycji zresztą nawet na właściwych polach dosyć mętnej i niedoskonałej, nie opartej na jasnym planie, nie uregulowanej ustawodawczo, mimo krzyczących anomalii (vide chałupnictwo). Jakież zatem mają być przesłanki w polityce rolniczych zajęć ubocznych, które nie są dziś uwzględnione?

Powszechność zasięgu uważamy za pierwszy warunek. Zajęcia uboczne powinny stopniowo docierać wszędzie tam, gdzie istnieje ludność małorolna. Przemysł ludowy, którego cechą jest pierwiastek artystyczny, nie może być powszechny. Chałupnictwo, w jego obecnym ujmowaniu, tworzy ośrodki nawet dosyć liczne ale o rozmieszczeniu gniazdowym.

Nastawienie na *samozaopatrzenie* rodziny pracującej — to drugi warunek. Wyraźnie chcemy podkreślić, że w polityce *zajęć* ubocznych nie koniecznie ma być mowa o *zarobkach* ubocznych. Istnieje cały szereg potrzeb nie zaspokojonych a zatem będących składnikiem i wyrazem biedy, które zaspokoić można pracą rąk własnych. Niech to nawet będzie czasem wytwór mniej doskonały, ale zaspokoi on potrzebę, która w drodze kupna nie byłaby zaspokojona. Nie będzie tu konkurencji dla wytwórczości przemysłowej, a zresztą gdyby nawet po części była, nie ma na to rady.

Dążenie do powszechności w oddziaływaniu i nastawienie na samozaopatrywanie nie mieszczą się w ramach istniejących metod, przystosowanych do oddziaływania w stosunkowo małych i skupionych ośrodkach w celu tylko i jedynie zarobkowym.

Z fałszywego podejścia do problemu zajęć wypływa m. in. całe dotychczasowe pogmatwanie i zaprzepaszczenie sprawy tych zajęć na wsi. Zajęcia uboczne na wsi, czy to nastawione na samozaopatrzenie, czy na skromne zarobkowanie powinny być raz na zawsze oddzielone od dziedziny podatkowej, ubezpieczeniowej itd. Dużo twórczej energii zużywa się dziś na poszukiwanie kryteriów i różnic dla poszczególnych przemysłów domowych. Stosunki tak istotne dla wielkich rzesz małorolnej ludności kształtowane są m. in. jako wypadkowa ścierania się wpływów obcych dla wsi — samorządów rzemieślniczego i przemysłowo-handlowego. Stopniowo dochodzi do głosu samorząd rolniczy, nie dając jednak dotąd jasnej i pełnej koncepcji własnej. Obserwując uważnie kształtowanie się naszej polityki gospodarczej w okresie ostatnich dwóch lat na odcinku wiejskich zajęć ubocznych, nie zauważamy niestety jakiejkolwiek wykrystalizowanej myśli. Komisje — owszem — powstają i mają nawet w programie tak kapitalne zamierzenia jak np. koordynacja prac oraz nadzór nad celowością wszelkich poczynań (nie znamy komisji, która by do tego nie dążyła), nic natomiast nie słychać o programie dającym realną konstrukcję działania. Może teraz nastąpią zmiany na lepsze, bowiem niedawno jedna z takich komisji otrzymała polecenie założenia nowej podkomisji. A tymczasem małorolny chłop czeka.

e. g.

PICCADILLY CIRCUS I KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE

Piccadilly Circus to nie tylko serce Londynu, to oś świata, z dumą powiadają Anglicy, to punkt najruchliwszy, najżywotniejszy i najważniejszy imperium, tu Londyn najbardziej może pulsuje życiem całego Commonwealth'u.

W takich określeniach nie chodzi o ścisłość, ale miłe i ważne dla uczuć Anglika jest, że taki punkt sobie określił i ten punkt nazwał osią świata.

Trudno byłoby określić gdzie jest taka oś polskiego świata, ale wszyscy będziemy zgodni, że napewno w Warszawie. Można tak nazwać Krakowskie Przedmieście, a może przecięcie Nowego Światu i Alei Jerozolimskich — to obojętne. Ale ten punkt centralny, oś Polski, jest na mapie Warszawy. Gdy tak jest, to oś ta musi być mocna w swojej budowie materialnej i moralnej, oś ta musi być otoczona miłością

i dumą wszystkich Polaków. To centrum Polski — Warszawa — wymaga słusznego, mądrego i jasnego do siebie stosunku wszystkich — społeczeństwa i Państwa.

Znany pisarz niemiecki A. E. Rutra mówi o Warszawie: „Głowa i mózg 35 milionowego narodu. Największe miasto Polski, mające blisko półtora miliona mieszkańców, jest nie tylko siedzibą rządu i wszystkich władz centralnych, jest dzisiaj także duchowym centrum kraju, mieszkają w nim najwybitniejsi przedstawiciele sztuki, poezji i nauki, jest magnesem przyciągającym ze wszystkich stron rozległego Państwa życie, któremu pilno potwierdzić się czynem i które chce współdziałać w budowaniu przyszłości".

I jest rzeczą doniosłą, że zagadnienia Warszawy, jej znaczenie i budowa stają się coraz bardziej sprawą uczuciową, za którą stoi wiele najistotniejszych dla budowy Państwa i rozwoju społecznego motywów, nakazów i konieczności.

A że tak jest, trzeba stwierdzić z racji uchwalonego ostatnio budżetu inwestycyjnego Warszawy, że sprawa budowy tej osi Polski, jej umacniania i rozwoju materialnego napotyka na nieprzezwyciężone dotąd trudności. W ciągu ostatnich lat przełamano nastrój bierności i pewnej obojętności społeczeństwa Warszawy i całej Polski dla swojej Stolicy. Najlepszym dowodem tego jest wzrost ofiarności obywateli w stosunku do miasta, która wyraża się między innymi w imponującym rozwoju darowizn gruntów miejskich, które przyspieszają regulację ulic i zabudowę.

Warszawa cieszy się z każdego skweru i budowy, z każdej nowej ulicy z nowoczesną gładką nawierzchnią, z każdej odsłoniętej perspektywy, którą zabijała szpetota starych budynków, zawalająca drogi najkrócej i najpiękniej wiążące miasto. Dzieje się tak dlatego właśnie, że istnieje w społeczeństwie poczucie zapóźnienia Warszawy w rozwoju, że odczuwają wszyscy instyktownie niemal, jaką rolę odgrywa Warszawa w życiu naszego Państwa i jakie stąd płyną dla niej obowiązki.

Dlatego też liczby charakteryzujące rolę Warszawy w gospodarstwie narodowym Polski trzeba powtarzać nie tyle dla zbudowania w świadomości opinii społecznej właściwego stosunku do spraw Warszawy jako stolicy Państwa i centrum życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego, ile dla ilustracji, że istnieją zapory w systemie finansowym Warszawy, które hamują jej rozbudowę i że to zahamowanie idzie daleko, że zagraża najżywotniejszym interesom Państwa i gospodarstwa.

Ten pogląd ma uzasadnienie jaskrawe, bijące w oczy i serca całego społeczeństwa, nie tylko mieszkańców Warszawy.

Dane statystyczne oświetlające znaczenie Warszawy dla rozwoju gospodarczego i kulturalnego Polski są uderzające. Warszawa obejmuje przeszło 35% ludności „wielkomiejskiej", t.j. zamieszkałej w miastach liczących powyżej 100 tys. mieszkańców, a więc odsetek najwyższy poza Paryżem w Europie, ta liczba ludności przewyższa sumę ludności we wszystkich 4-ch stolicach dzielnicowych Polski.

Ta geografia ludnościowa nie stwarza pełnego obrazu „pozycji" Warszawy w naszym życiu, ale zarysowuje kontury, gdy pamięta się o ogólnej strukturze państwa. Niewątpliwie nie możemy pozwolić sobie na drogą decentralizację gospodarczą i kulturalną a również administracyjną. W naszych warunkach musimy życie polskie wiązać i skupiać jego siły przez najmocniejszy i organiczny węzeł Warszawy. Przemawiają za tem tak zadania obrony jak i zadania gospodarcze.

Każde młode Państwo w Europie rozumie dobrze i docenia wagę powiązania kulturalnego ze światem przez swoją stolicę. Również niezmiernie ważnym zagadnieniem dla rozwoju siły Państwa, jego poczucia udziału w sprawach świata, powiedzmy, dobrego „samopoczucia moralnego", jest tworzenie w stolicy wzorcowych warunków życia, wzorców pracy gospodarczej i kulturalnej dla całego Państwa. Tem się tłomaczy olbrzymi wysiłek, jaki kładą narody w rozbudowę swoich stolic. Ilustracją może być choćby Bukareszt, a nawet małe Kowno, przebudowane i rozbudowane wielokrotnie w stosunku do stanu dawnego.

A przecież zaniedbania Warszawy były i są nie mniejsze: Warszawa posiada około 30% niezabrukowanych ulic i stan ten nie zmniejsza się na skutek przyrostu nowych ulic, około 28% nieruchomości nie jest przyłączonych do sieci wodociągowej, a do sieci kanalizacyjnej aż 60%.

Liczby te charakteryzują tylko część prac, które muszą być dokonane w Warszawie, by ją uzbroić w najbardziej podstawowe urządzenia, które łączą się dziś nieodzownie z pojęciem życia miejskiego. Poza tem istnieje ogrom potrzeb w dziedzinie komunikacyjnej, czeka rozbudowa tramwajów i autobusów, budowa mostów, nie mówiąc już o kolei podziemnej, budowa szkół, szpitali, zakładów opieki społecznej itd. Ogół tych potrzeb obliczony jest na miliard złotych i to w rachunku bardzo oszczędnym, skromnym, który zaspakaja tylko najpilniejsze potrzeby dnia. W granicach zaś 4-o letniego okresu Warszawa powinna wydać na inwestycje przeszło 400 miljn. złotych.

Zestawienie tych liczb z sumą 14,6 miljn. zł. budżetu nadzwyczajnego Warszawy na r. 1938/39 stwarza widowisko żałosne (w tem 8 miljn. zł pożyczki i 4 miljn. zł dotacji Funduszu Pracy). Bo jakże to, stolica Państwa, w tak wielkiej części bez ulic, bez kanalizacji, wodociągów, z tak ogromnymi brakami w budownictwie publicznym znajduje się bez środków na zaspakajanie najprymitywniejszych potrzeb rozwoju i rozbudowy. Więc mamy pozostawić dalej warunki takie, które wywoływać mogą nie tylko zdziwienie, ale z biegiem lat — powiedzmy to sobie raz otwarcie — i pogardę obcych. W ciągu 20 lat niepodległego bytu Państwo nie zapewniło takich warunków rozbudowy stolicy, które by nas uchroniły od palącego wstydu, że stolicą Państwa jest miasto, w którym w tak wielkiej części brak bruków, chodników, gdzie brud płynie rynsztokami,

a ludzie wodę czerpią ze studzien, gdzie odrapane budy, stare rudery i śmietniki zagradzają drogę do dzielnego i zdrowego życia i rozwoju młodych pokoleń. Z trudem zdobywane z roku na rok kredyty są tak znikome, że tą drogą nie sposób zmienić istniejących warunków.

Społeczeństwo rozumie dobrze, że Zarząd Miasta gdy nie ma pieniędzy na budowę, to choćby najlepiej chciał, miał najlepsze plany, energię działania i upartą wolę pracy, niczego dokonać nie jest w stanie.

Właśnie dziś, gdy Warszawa z sensem i planem rośnie, pięknieje i przeształca się wreszcie z miasta, które zaborca chciał wtłoczyć w rozmiary „gubernialne", na stolicę wielkiego Państwa w Europie — trzeba stworzyć środki, by dalej realizować dobrze zaczętą robotę przebudowy centrum i serca Polski. Środki na rozsądne postawienie tego problemu można znaleźć, trzeba tylko przełamać inercję zostawiania tej palącej dla całej Polski sprawy „po staremu", bo trudna i kłopotliwa. A lepiej ten problem, do którego rozumnego rozwiązania są już wszystkie elementy i istnieje powszechne zrozumienie tych konieczności, rozwiązać dziś, niż czekać na bardzo dotkliwe skutki bezwładu, które zmuszą do tej pracy jutro w gorszych już warunkach. Odrzucając wszelkie przesłanki uczuciowe, trzeba z całą zimną rozwagą stwierdzić, że w hierarchii potrzeb Polski ulica Warszawy musi być pierwsza, niż ulica jakiejś mieściny czy miasta Z.

Rozbudowa stolicy nieodzowna w warunkach naszego zapóźnienia nie może zależeć od gorszej czy lepszej koniunktury kredytowej, bo wymaga ona planu na lat wiele, rozłożenia na wiele lat wydatków i konsekwentnego budowania.

Rozbudowa wielkiego miasta — to zadanie bardzo złożone, którego pełna realizacja na odległe czasy przyszłych pokoleń jest przewidywana, usunąć więc z niego trzeba nieodzownie gospodarowanie dorywwcze. Nie można uzależniać tej rozbudowy od zwykłego trafu, od tego, czy Prezydent Miasta w danym roku „wywalczy" kredyty na ten cel, na tę czy inną drogę, czy budowlę, czy też „nie uda" mu się.

Trzeba by jeszcze dodać, że rentowność społeczna inwestycyj w Warszawie jest ogromna, największa w Polsce, że te inwestycje tworzą i oszczędzają wielkie wartości, że są czynnikiem, przyspieszającym procesy inwestycyjne w całym kraju.

Dochody Warszawy w ostatnich kilku latach uległy poważnemu obniżeniu, miasto utraciło wiele źródeł podatkowych, rozwój wpływów z podatków miejskich w stosunku do rozwoju wpływów z podatków państwowych jest bardzo dla miasta niekorzystny, między liniami obrazującemi ten rozwój istnieje znaczna rozpiętość. Te „nożyce" charakteryzują sytuację. Budżet zwyczajny Warszawy skrajany do ostatka przez oszczędzanie, które polega na odmawianiu zaspakajania koniecznych często potrzeb, uległ poważnemu relatywnemu zmniejszeniu w stosunku do budżetu państwowego. W takim budżecie zwyczajnym nie ma żadnego miejsca na inwestycje.

Wniosek ogólny: system finansowy Warszawy nie może być dalej utrzymany, jest zły i szkodliwy, uniemożliwia rozwój Warszawy a przez zmuszanie do szukania dorywczego pokrywania kosztów inwestycyj, przez niepewne, od wypadku do wypadku otrzymywane, kredyty — dezorganizuje życie stolicy, uniemożliwia wykonywanie jakiegokolwiek planu inwestycyjnego.

Trzeba znaleźć właściwy spółczynnik udziału Warszawy w pracach inwestycyjnych całego Państwa z funduszów publicznych, spółczynnik, który by odpowiadał roli, jaką stolica spełnia i ma spełnić w życiu kraju.

Miasto musi posiadać stałe źródło dochodów na najpilniejsze inwestycje, związane z jej rozwojem i przebudową, te źródła dochodów, powinny stanowić stały budżet inwestycyjny jako część budżetu zwyczajnego, bo rozbudowa to stała funkcja miasta — nie nadzwyczajne zdarzenie.

Piccadilly Circus i okolice w promieniu kilkudziesięciu kilometrów były inwestowane przez długie wieki i dziś są inwestowane mimo swojego wiekowego bogactwa. Paryż inwestuje olbrzymie kapitały mimo pracy stuleci, rowija się Berlin, buduje Rzym, Moskwa, Bukareszt i Kowno.

w. s.

ROZWAŻANIA PRZEDNÓWKOWE

W jednym z dzienników gospodarczych ukazała się notatka, podchwycona zresztą przez prasę codzienną, o zamiarze powrotu do interwencji w zakresie eksportu zboża. Dyskusja na ten temat nie byłaby niepokojącą gdyby nie czas, w jakim została podjęta i sugerowane terminy zapoczątkowania tej akcji. Te fakty zabarwiają całą sprawę o tyle specyficznie, że nieodparcie narzuca się pytanie w imię jakich celów nawrót do zwrotów ceł przy zbożach miałby nastąpić akurat w okresie t.zw. przednówka.

Niewątpliwie przebieg kształtowania się cen zbożowych w bieżącym roku gospodarczym nie jest dla rolnictwa korzystny, z powodu odwróconej sezonowości, t. zn., że ceny na początku kampanii były wyższe, niż na przednówku. Zdawać sobie jednak należy sprawę, że zarówno w świetle sytuacji światowej, jak i rynku wewnętrznego nie było i nie ma obiektywnych powodów, które by uzasadniały ów stosunkowo wysoki poziom cen zbóż na początku roku. Przesadne jak zwykle wieści o nieurodzaju zbożowym, oraz systematyczne nieuwzględnianie w ocenie sytuacji elastyczności podaży, która jest funkcją wielu czynników gospodarczych, ale w każdym razie nie pozostaje w prostej zależności od wielkości zbiorów) — sprawiły, że ceny zbóż na jesieni były zbyt wysokie w porównaniu do rzeczywistego układu stosunków; stąd odwrócona sezonowość cen. Można i trzeba nad tem ubolewać, jednak fakt ten jeszcze nie uzasadnia w najmniejszej mierze prób odwrócenia tego stanu rzeczy przez wysoko premiowany eksport na przednówku. Obawiać się bowiem można, że premie musiałyby być fantastycznie wysokie, aby móc podwyższyć obecne (oderwane od poziomu

światowego) ceny do poziomu z jesieni ub. r. To też argumenty oparte na konieczności przywrócenia normalnej sezonowości cen nie wydają się poważne.

Można jednak stanąć na innym stanowisku i zakreślić sobie węższe zadanie: w przewidywaniu dalszej zniżki cen na rynku krajowym premiować wywóz zbóż celem utrzymania poziomu cen ponad parytetem światowym. Wydaje się jednak, że jeśli — co jest bardzo prawdopodobne — ceny na początku przyszłej kampanii będą jeszcze niższe od obecnych, to środki, które mogą być przeznaczone na ewentualną interwencję powinny być skoncentrowane całkowicie w tym właśnie czasie. Podciągnięcie ceny w górę działa wówczas nie tylko przez sam okres działania premii, ale wyznacza poziom cen i w pozostałej części roku. Przy ograniczonych środkach Skarbu wprowadzenie premii na przednówku byłoby nieekonomiczne jeszcze i z tego punktu widzenia, że dzisiejsza wielkość premii przesądzałaby już teraz konieczność zastosowania ich na jesieni z tem, że premie te musiałyby być wyższe od przednówkowych (przy założeniu, że ceny zbóż będą niższe od obecnych).

Czy jednak bezpośredni interes całego rolnictwa nie uzasadnia wprowadzenia premii już teraz, bez względu na powyższe motywy? — Tu możemy sobie wyraźnie powiedzieć, że t. zw. interes rolniczy w najszerszym pojęciu nie ma prawie nic wspólnego z tymi projektami, gdyż przeciętne gospodarstwa zarówno drobne jak i większe nie mają już poważniejszych zapasów. Pewne ilości zbóż mogą się znajdować w ręku wybitnie silnych gospodarstw rolnych, przy tem częściowo spekulatywnych, pewne zaś, i to niewątpliwie poważniejsze ilości w rękach handlu zbożowego.

Skoro można mieć wątpliwości co do znaczenia takiej interwencji dla rolnictwa, jasne jest, że punkt ciężkości przenosi się na inną płaszczyznę i otóż pytanie jaką? Czyż motywem ewentualnej decyzji miałoby być aktywizowanie bilansu handlowego? Jeśli tak, to oczywiście cel ważny, ale czy aby o tyle, by decydować się na uzyskanie w bilansie w najlepszym razie około 30 milionów złotych kosztem sześciu do ośmiu milionów, z tem, że cyfry te są w obu kierunkach obliczone raczej optymistycznie. Stawka pomocy 20 — 30% przy wywozie nie jest w naszych warunkach czemś wyjątkowym i w wielu wypadkach może być uznawana za uzasadnioną, zwłaszcza jeżeli w jej motywacji istnieją czynniki strukturalnej, dalekodystansowej natury. W tym jednak wypadku czynników takich trudno się dopatrzeć, a wówczas ta wysokość pomocy dla surowca jest już zbyt wygórowana. Niewątpliwą zaletą polityki gospodarczej jest jej elastyczność, ale wielokrotnie groźniejszą wadą jest jej niekonsekwencja i sprzeczności. I tu niestety obawa niekonsekwencji istnieje.

Przy tej okazji warto by się zastanowić nad dalszą nieco przyszłością, która dla naszych stosunków rolniczych zawsze będzie się przedstawiała wysoce groźnie, jeżeli nie potrafimy w drodze szeroko zakrojonej akcji osiągnąć redukcji kosztów produkcji i wymiany, i to zarówno na odcinku rolniczym jak i przemysłowym. Trudno byłoby precyzować całą niezmiernie szeroką skalę instrumentów polityki gospodarczej zarówno państwowej jak i prywatnej, mogących mieć wpływ na kalkulację wszelkich procesów gospodarczych. Jedno jest pewne, że ostatnie lata polityki państwowej zapoczątkowały tę akcję przez stworzenie warunków dla rozbudowy przemysłu i jego racjonalnych przesunięć geograficznych, tak jak np. C. O. P., przetwórstwo mięsne na wschodzie, rozbudowa mleczarstwa; inwestycje, ułatwiające obrót produktami rolniczymi jak rozbudowa spichrzów zbożowych, chłodni itp.; uruchomienie tanich kredytów zarówno dla obrotu wewnętrznego jak w mniejszej już skali obrotu zagranicznego, akcja oddłużeniowa w rolnictwie, reformy podatkowe itp.

Choć w każdej z tych akcyj można znaleźć pewne luki, lub doszukiwać się marnotrawstwa, to jednak nikt nie potrafi zaprzeczyć, że idziemy we właściwym kierunku i że postęp w naszym dozbrojeniu gospodarczym odbywa się dużymi krokami i musimy nie tylko tempo to utrzymać, ale nawet je zwiększyć, by wreszcie wyzbyć się dumy pariasów w łatanych butach. Każda pochopna decyzja, angażująca grosz publiczny dla celów doraźnie koniunkturalnych, oddala nas od zasadniczych naszych celów, o których nigdy nie wolno zapominać.

k. s.

FRANCISZEK KOZŁOWSKI

WĄTPLIWOŚCI LUDNOŚCIOWE

Ustalanie celów i metod polityki ludnościowej powinno się odbywać na poziomie wyższym aniżeli brukowo-gazetkowy.

W sprawach polityki ludnościowej jesteśmy głównie inspirowani przez prasę codzienną. Posiadamy paru wybitnych demologów i demografów, ale ci poprzestają na ogłaszaniu prac naukowych, dość mało się interesując zarówno popularyzacją wiedzy ludnościowej, jak i formułowaniem celów i zasad polityki ludnościowej. Stanowisko znakomitej większości prasy jest zdecydowane i jasne „Potrzeba nam wielkiej dynamiki ludnościowej! Nie dajmy się zdystansować innym! Więcej, jeszcze więcej noworodków! Obywatele, do roboty!"

Reakcja sceptyka (a może cynika) na ten apel do „ideowej roboty" byłaby mniej - więcej taka „Czy jeszcze mamy zbyt mało bezrobotnych i nie dość trudności z plasowaniem emigrantów?" Autor artykułu niniejszego sam ma w sprawach ludnościowych niejedną wątpliwość (czemu odrazu dał wyraz w tytule), ale wątpliwości jego nie idą tak daleko, jak owego wyimaginowanego sceptyka. Autor proponuje sceptyka przekonać, jednak z zastrzeżeniem, że dyskusja ze sceptykiem powinna się odbyć bez użycia najbardziej modnych i nowoczesnych „chwytów intelektualnych" (kij, kastet i żyletka). Proponujemy, aby sceptykowi po prostu powiedzieć „możliwa jest tylko długofalowa polityka ludnościowa, bezrobocie i przeludnienie to są choroby przejściowe, które zwalczyć musimy w dość krótkim stosunkowo czasie, ponadto *koniecznym* warunkiem realizowania ambicji narodowych w większym stylu jest silna dynamika ludnościowa".

Porzućmy teraz bez skrupułów naszego sceptyka i zastanówmy się nad tem, cośmy sami jemu powiedzieli. „*Koniecznym* warunkiem realizowania ambicji narodowych itd.". Czy mamy tu do czynienia z warunkiem koniecznym i zarazem dostatecznym, czy też z koniecznym lecz niedostatecznym. Chyba jasne jest, że zachodzi druga ewentualność. Narodowi o małym przyroście, czy też ujemnym przyroście naturalnym będzie brakowało „surowca" ludnościowego do realizacji wielkich ambicji, ale może się też zdarzyć, że posiadany w nadmiarze „surowiec" będzie się po prostu marnował. Naród o znacznej dynamice ludnościowej może wysyłać np. liczne zastępy pionierów kolonialnych, ale może też „eksportować" masy pariasów, gotowych na emigracji przyjąć każdą najbardziej ciężką i najgorzej płatną pracę. Nie zapominajmy więc, że mamy do czynienia z warunkiem koniecznym lecz niewystarczającym.

Sądzę, że nie należy poprzestać na tym ogólnikowym zresztą rozpatrzeniu stosunku między dynamiką ludnościową, a realizacją ambicji narodowych. Trzeba jeszcze nieco bliżej przyjrzeć się pojęciu dynamiki ludnościowej. Chcecie dużego przyrostu naturalnego, zgoda, lecz nie zapominajcie panowie, że przyrost naturalny jest saldem urodzeń i zgonów, i że saldo to można powiększyć nie tylko zwiększając liczbę narodzin, ale i redukując liczbę zgonów, a to drugie leży najzupełniej w granicach możliwości państwa, prowadzącego racjonalną politykę podziału dochodu społecznego i dysponującego sprawną służbą zdrowia.

Przyjrzyjmy się jak kształtował się przyrost naturalny w Polsce. Dane zawarte w „Małym Roczniku Statystycznym" (1937 r.) wystarczą nam najzupełniej w tym celu.

Okres	*Urodzenia żywe*	*Zgony*	*Przyrost naturalny*
	przeciętnie na 1.000 mieszkańców rocznie		
1896 — 1900	43,5	25,0	18,5
1921 — 1925	34,7	18,5	16,2
1926 — 1930	32,3	16,8	15,5
1931 — 1935	27,6	14,6	13,0

Przyjmując za podstawę dane z okresu 1896 — 1900 obliczamy wskaźniki

Okres	*Wskaźnik urodzeń żywych*	*zgonów*	*przyrostu naturalnego*
	przeciętnie na 1.000 mieszkańców rocznie		
1896 — 1900	100,0	100,0	100,0
1921 — 1925	79,8	74,0	87,6
1926 — 1930	74,3	67,2	83,8
1931 — 1935	63,5	58,4	70,3

Jak widać z powyższej tabelki wskaźnik urodzeń żywych wynosił w okresie 1931 — 1935 w stosunku do przyjętej podstawy tylko 63,5 podczas gdy wskaźnik przyrostu naturalnego aż 70,3; różnica pochodzi ze spadku umieralności, wynoszącego przeszło 40%. A więc rzeczywiście nietylko „przypływ", ale i „odpływ" posiada doniosłość praktyczną.

Jesteśmy dalecy od kwestionowania roli dostatecznie znacznej liczby urodzeń, jednak chcielibyśmy się przeciwstawić bezkrytycznemu kultowi silnej rozrodczości. Chodzi nam o silną dynamikę ludnościową, a zatem chyba o dużą i rosnącą liczebność narodu? Może jednak ta sprawa nie jest taka prosta.

Każdy człowiek podobnie, jak każdy inny organizm trwa w czasie. Czas trwania życia jest bardzo różny u różnych jednostek. Ponadto przeciętny czas trwania życia u różnych społeczeństw, a nawet w obrębie poszczególnych społeczeństw w różnych etapach rozwoju jest różny. Możemy rozmaicie mierzyć zbiorowości ludzkie. Najprostszą i najbardziej przyjętą miarą będzie liczebność. Możemy jednak

mierzyć zbiorowości ludzkie w sposób bardziej precyzyjny i celowy, przypisując każdej jednostce pewną, racjonalnie dobraną wagę. Jeżeli mamy ze sobą porównać urodzenia żywe w dwu różnych społeczeństwach, to można ze sobą po prostu zestawić liczby (bezwzględne, czy względne) narodzin, ale można też zastanowić się nad tem, czy nie zastosować w tym porównaniu wag, przy czem jako najprostszej wagi użyć można przeciętnego dalszego trwania życia noworodka. Tak prostych wag może nam również dostarczyć Mały Rocznik Statystyczny. Przyjrzyjmy się tym wagom:

Kraj	*Okres*	*Dalsze trwanie życia noworodka w latach*	*Wskaźnik (Polska = = 100)*
Z.S.R.R. (europ.)	1926-27	44,4	96,7
Polska	1927	45,9	100,0
Francja	1920-23	54,1	117,9
	1928-33	56,7	123,5
Anglia	1920-22	57,6	125,5
	1930-32	60,8	132,5
Niemcy	1924-26	57,4	125,1
	1932-34	61,3	133,6
Szwecja	1921-25	61,8	134,6
	1926-30	62,3	135,7

Gdybyśmy mieli do czynienia nie z zagadnieniem przyrostu naturalnego brutto, tylko np. z produkcją przemysłową, to opierając się na powyższych wskaźnikach powiedzielibyśmy prawdopodobnie: „mamy wprawdzie dużą produkcję, ale produkcję małowartościową, produkcja zachodnio-europejska nie jest tak masowa, ale wytworzona jednostka przedstawia przeciętnie wartość o 18% do 36% wyższą niż nasza". W naszym wypadku tak mówić, oczywiście, nie trzeba, chodzi przecież nie o wytwory przemysłu, czy rolnictwa, ale o ludzi. Ludzi zaś, jak powszechnie wiadomo, wolno brutalnie traktować, ale nie wolno o nich brutalnie mówić, a zwłaszcza pisać.

Proponowana przez nas waga korygująca międzynarodowe porównania liczby urodzeń żywych daleka jest zresztą od precyzji. Warto by skonstruować wagi bardziej precyzyjne, co, niestety, w ramach skromnego artykułu nie jest już możliwe. Do czego się sprowadza proponowana przez nas poprzednio metoda międzynarodowych porównań przyrostu naturalnego brutto? Po prostu do tego aby zestawiać ze sobą nie liczby względne naworodków, ale liczby spodziewanych osobo-lat dalszego, spodziewanego życia tych noworodków. Zauważmy jednak, że na ogół biorąc, życie ludzkie składa się z trzech okresów

a) nieprodukcyjnego okresu dziecięctwa,
b) okresu produkcyjnego,
c) nieprodukcyjnego okresu starczego.

Przyjmując np., że na ogół biorąc okres produkcyjny rozpoczyna się z chwilą ukończenia 15 lat, a kończy się z chwilą ukończenia 65 lat życia, można by na podstawie tablic śmiertelności obliczyć dla każdego kraju cywilizowanego z osobna przeciętne spodziewane trwanie życia noworodka w okresie produkcyjnym. Jeżeliby takich wag użyć do międzynarodowego porównania przyrostu naturalnego brutto, to porównanie to wypadłoby być może dla nas jeszcze gorzej, niż poprzednie, posiadamy bowiem znaczną, w porównaniu do Europy Zachodniej umieralność dzieci.

Można sobie wyobrazić wagę jeszcze bardziej precyzyjną, chociaż bardzo trudną już do obliczenia. Okres produkcyjny życia ludzkiego składa się z dni zdolności i niezdolności fizjologicznej do pracy. Trzeba by więc skorygować proponowaną w ustępie poprzednim wagę jeszcze przy pomocy tablic chorobowości i inwalidności fizjologicznej. Brak danych statystycznych stanie się tu jednak zapewne nieprzezwyciężoną przeszkodą.

Jak wyżej już wspomnieliśmy nie zamierzamy się przeciwstawiać hasłu licznych urodzeń. Zgłosiliśmy tylko pewne zastrzeżenia. Wolimy raczej „produkcję" nieco mniej liczną, lecz bardziej wartościową, a tem samem społecznie „tańszą". Sądzimy, że istotne jest dążenie do maksimum przyrostu osobo-lat zdolności produkcyjnej, a nie do maksimum przyrostu ilościowego ludności. Chcielibyśmy zgłosić jeszcze jedno zastrzeżenie. Chodzi o to, czy dążenia do licznego przyrostu naturalnego brutto nie należy nieco zróżnicować wedle warstw społecznych? Nie będziemy tu rozwijali tego obszernego tematu. Poprzestaniemy na jednym tylko przykładzie. Któreś z pism codziennych narobiło w swoim czasie wielkiego gwałtu o to, że „inteligencja" polska, ta swoiście zresztą polska, bo nie mająca właściwie odpowiednika w większości krajów, warstwa społeczna nie posiada licznego potomstwa. Skandal! Ale może wcale nie taki wielki skandal? Warstwa inteligencka jest uzupełniana w dwojaki sposób: biologiczny (przynależność do tej „szlachty" jest dziedziczna) i przez awans społeczny. Odpływ odbywa się również w sposób dwojaki: biologiczny (śmierć) i przez degradację społeczną (procesy deklasowania, obawiamy się zresztą, że u nas w tej warstwie nie dość liczne). Otóż nie należy zapominać, że liczebność warstwy kierującej jest przez stan gospodarstwa narodowego dość zdecydowanie ograniczona, a uzupełnianie tej warstwy w drodze awansu społecznego jest zjawiskiem z wielu względów wysoce cennym. Nie widzimy więc wielkiego nieszczęścia, jeżeli liczba protegowanych „synusiów" nie będzie zbyt wielka na to, aby zamknąć drogę do awansu społecznego. Nie chcemy zresztą wpadać z jednej ostateczności w drugą. Nie twierdzimy wcale, że np. zupełny brak przyrostu naturalnego w obrębie warstwy kierowniczej byłby stanem idealnym.

Jak widać choćby z powyższych szkicowych wywodów zagadnienia ludnościowe „wzięte pod mikroskop", przedstawiają się nieco inaczej niż dla „nieuzbrojonego oka". Jest rzeczą interesującą, że w okresie rozwiniętego interwencjonizmu, wkraczającego zbędnie w różne drobiazgi życia społeczno - gospodarczego, państwo nasze nie wkroczyło dotychczas w dziedzinę tak zasadniczej wagi jak zjawiska ludnościowe.

Jest niemniej interesujące, że w okresie zawziętych bojów o kompetencje, żadne z ministerstw nie objawiło dotychczas ambicji ujęcia kierownictwa całokształtu polityki ludnościowej.

NOTATKI

WSTYD

Artykuły jednego z dyrektorów „Związku Zawodowego Cukrowni *B. Król. Polskiego, Wołynia, Małopolski i Śląska*” (cóż za piękny anachronizm) — w sprawach związanych z przemysłem cukrowniczym, mają już swoją markę. Są one wyrazem tendencyjnej obrony jak najwęższych interesów własnych. Gdy artykuły te drukuje „Gazeta Cukrownicza”, lub pismo o pokrewnym charakterze, wszystko jest w porządku. Źle jest natomiast, gdy ukazują się w piśmie, reprezentującym jakieś ogólniejsze cele. Niedawno właśnie ukazał się w „Polskim Eksporcie” (nr. 2), organie Koła Eksportowego przy Światowym Związku Polaków z Zagranicy artykuł p. t. „Polski przemysł cukrowniczy”. Jest to niemal dosłowny przedruk artykułu zamieszczonego w nr. 1/2 „Gazety Cukrowniczej” oraz w kilku innych pismach. Jest rzeczą charakterystyczną, że ta sama treść ukazywała się w każdym piśmie pod różnymi tytułami. Różnica treści polegała raptem na opuszczeniu jakiegoś ustępu (pierwszego). Tyle co do formy. Skolei meritum.

Na samym wstępie autor uskarża się, iż „przemysł cukrowniczy”, stanowiący prywatną własność polskich obywateli, jest bodaj jedyną gałęzią wytwórczą w kraju, całkowicie regulowaną przez władze państwowe”. „Wnikliwy i trafny analityk polskiego cukrownictwa” zapomina, że przemysł cukrowniczy jest bodaj *jedyną gałęzią wytwórczą w kraju, korzystającą z tak wielkiej ochrony przed importem*. Wystarczy sobie uzmysłowić, że fabryczna cena cukru wynosi ca 50 kg. za 1 kg., podczas, gdy importowy cukier moglibyśmy mieć po ca 20 gr. za kg. a więc 2½ razy taniej. Nie należy wyprowadzać stąd wniosku, że wypowiadamy się za importem cukru. Bynajmniej. Uznajemy w pełni potrzebę ochrony krajowej produkcji cukru z tych wszystkich względów, które tę ochronę przesądzają; lecz uważamy również, że są to względy tak ważne, tak obchodzące całość gospodarki narodowej, że w jej imieniu tak silna i wszechstronna ingerencja Państwa w sprawy cukrowo-buraczane jest w pełni uzasadniona. Niepotrzebnie też przemysł wywołuje wilka z lasu, bo przy okazji społeczeństwo może się dowiedzieć, że zakres ingerencji Państwa był w dużym stopniu i w wielu wypadkach *sprowokowany przez sam przemysł*, jego egoistyczne stanowisko. Dowodów mamy aż nadto. Rząd obniżył w ciągu ostatnich kilku lat fabryczną cenę cukru ze 107,65 gr. za kg. do gr. 51,5 ,detaliczną zaś do 1 zł. za kg.). Wydawałoby się, że przy tak radykalnym cięciu w kalkulację sprzedawanego artykułu, położy się każdy wytwórca. Tymczasem wbrew uroczystym klepsydrom, redagowanym skwapliwie przez przemysł na szpaltach wszystkich usłużnych sobie pism, przemysł nie tylko nie zmarł śmiercią niesławną, lecz wprost przeciwnie... ożył. Cieszy się coraz lepszym zdrowiem. Życzymy mu też długiego żywota. Konsumcja cukru zaczęła systematycznie wzrastać, w tempie niemal niespotykanym w tym czasie w żadnym innym kraju. Przemysł, który przedtem niemal nie należał do siebie samego (już nie mówiąc o tem, żeby stanowił „własność polskich obywateli”, siedział bowiem w kieszeni przeważnie zagranicznych kapitałów), znakomicie się oddłużył i gruntownie zainwestował. Rzecz zrozumiała, że nie mógłby tego „cudu” dokonać ze strat. Na oddłużenie musiał mieć zyski i to wcale nie skromne. Odpowiedź na pytanie kto przemysłowi cukrowniczemu ten prezent ze strony krajowego konsumenta umożliwił, brzmi w zestawieniu z omawianym artykułem zgoła niesamowicie: — władze państwowe. Te same władze państwowe, które torturują przemysł cukrowniczy — w dodatku niewiadomo (przynajmniej tak wynika z omawianego artykułu) dla jakich celów. „Skończyli” się słodkie czasy dla cukrowników. „Nie są” oni teraz „faktycznymi kierownikami, mogącymi przejawiać inicjatywę i inwencję w zakresie pracy danych przedsiębiorstw, lecz tylko wykonawcami zarządzeń państwowych”. Przyłączam się do pokutnego psalmu i tylko wzdycham pobożnie pomiędzy jedną a drugą zwrotką, — jakby to dobrze było gdyby zarządzenia państwowe nakazywały inkasowanie przemysłowcom jak największych zysków. Wtedyby dopiero przejawiła się zarówno inicjatywa jak inwencja naszych luminarzy życia gospodarczego.

W artykule znajduje się zestawienie, które może tylko ucieszyć każdego niemal czytelnika, a które do pasji doprowadza cukrowników. Z zestawienia wynika, że od kampanii 1933/34 datuje się znakomity wzrost spożycia cukru na wewnętrznym rynku. Skutek m. in. dokonanej przez Rząd obniżki ceny cukru. Wpływy Skarbu Państwa w związku z tem również nieco wzrosły. Utarg zaś osiągnięty przez cukrownie spadał, bo obniżano cenę cukru. I tu autor widocznie gwoli etetyki spadkowej linii wpływów cukrownictwa wykazał, że utarg w 1935/36 wynosił 190,5 miln. zł zaś w 1936/37 — 190 miln. zł, a więc o 500 tys. zł mniej. Nawet człowieka nie znającego szczegółów z zakresu gospodarki cukrowej musi uderzyć to, że pomimo wzrostu spożycia i pomimo utrzymania się ceny cukru na niezmienionym poziomie od grudnia 1935 r., wpływy w ostatniej kampanii spadły. Z liczb sprzedaży cukru wg miesięcy za kampanię 1935/36, (za X, XI po wyższej cenie i od 4.XII. po niższej) wynikało by, że utarg cukrowni w tej kampanii był niższy od podanego przez autora i powinien wynosić ca 183 miln. zł oraz, że utarg w 1936/37 r. istotnie wynosił około 190 miln. zł, że więc wpływy wzrosły w ostatniej kampanii o ca 7 miln. zł nie zaś spadły o ½ miln. zł. Chętnie widziałbym dowód rachunkowy z którego można by się przekonać kto z nas się myli. Znając dynamikę spożycia cukru w kampanii 1937/38 można szacować wpływy z górą na 200 miln. zł i wróżyć stąd przemysłowi jak najlepsze horoskopy. Dynamikę tę przemysł zna, mimo to nie wróży sobie pomyślnej przyszłości. Z eksportem również jest źle. Dziw tylko, że najbardziej o eksport ubiega się przemysł cukrowniczy. Chyba nie dlatego, że wywóz cukru jest nierentowny.

O nierentowności przemysłu cukrowniczego ma czytelnika ostatecznie przekonać fakt wypłacania

przez niektóre cukrownie 2 — 3% dywidendy. Alež dywidendy mogą wogóle nie istnieć. Nawet mogą być niepożądane z chwilą gdy akcjonariusze są dyrektorami, członkami rad nadzorczych i uprzywilejowanymi plantatorami buraków cukrowych. Zresztą znane są w histori spółek akcyjnych wypadki, kiedy mniejszość akcjonariuszy nie otrzymywała w ogóle dywidendy a większości mimo to wcale nieźle się powodziło.

Gdy zareprezentowany tu „obiektywny" opis stanu przemysłu cukrowniczego i horoskopy na przyszłość ukazują się w „Gazecie Cukrowniczej", wiemy co o tem sądzić. Gdy jednak „Eksport Polski" drukuje tego rodzaju artykuły, gdy co cenniejsze wyjątki podaje w językach angielskim i niemieckim, gdy ponadto redakcja ocenia artykuł jako „trafną i wnikliwą analizę polskiego cukrownictwa" — wówczas wstyd ogarnia za poziom naszej publicystyki. Wstyd przede wszystkiem za ludzi młodych, ideowo nastawionych, którym wystarcza bezkrytyczne oparcie się o autorytety.

a. s.

REWOLUCJA NA POLESIU

Proszę się nie lękać. Powyższy tytuł nie oznacza rewolucji, w której gnieceni biorą władzę w swe ręce i gniotą innych. Pod tym względem nic się na Polesiu nie stało. Idzie tu o inną rewolucję, która stworzyła na Polesiu nowego człowieka. Tak jest! Na Polesiu nastąpiły w ciągu ostatnich kilkunastu lat głębokie przeobrażenia, o których jednak opinia publiczna nic nie wie, i jak dotychczas nie widać objawów zdradzających zainteresowania w tym kierunku.

Polesie — to kraj błot, bagien, lasów i pustkowi, kraj cudownego pejzażu. Wśród tych „kombinacyj" wody z bagnami żyje człowiek wygrywający czasem na fujarce rzewne melodie, człowiek nieufny, niechętny w stosunku do przybyszów, prowadzący życie pierwotne, niemal jaskiniowe, człowiek ciemny, będący jakby cząstką otaczającej go przyrody.

O takim Poleszuku właśnie u nas się wie, co więcej, prymitywizm poleski bardzo pociąga wielu, jak na przykład... foto - reporterów, którzy niedawno rzucili na ekrany kin warszawskich w podobnym guście, nieudolnie zresztą wykonaną, krótkometrażówkę. Takie są wyobrażenia o Polesiu, bardzo starannie pielęgnowane i strzeżone przez niewiedzę i... podręczniki geografii.

Jest jednak inne Polesie, rzeczywiste, które się narodziło już po wojnie, a którego przedstawicielem jest młode pokolenie, zasadniczo się różniące od starego pod względem zainteresowań, zapatrywań oraz poziomu kulturalnego, pokolenie, które umie czytać i pisać, służy w wojsku, słucha audycyj radiowych. Weźmy trochę cyfr z dziedziny oświaty. W 1921 roku nie umiało na Polesiu ani czytać ani pisać 71% ogółu ludności (przeszło 10 lat temu), przy czem mężczyzn analfabetów było 61%, kobiet — 81%. Liczby te pochodzą co prawda z okresu bezpośrednio powojennego, kiedy to do spisu mogły się wkraść niedokładności, wynikające przede wszystkiem z niechętnej postawy ludności do prac spisowych. Nie zmienia to wszakże zasadniczego obrazu stanu oświaty, który był katastrofalnie niski.

W ciągu 10 lat nastąpiła rewolucja w oświacie, bo liczba analfabetów w r. 1931 spadła na Polesiu do 48%, przy czem dla mężczyzn liczba ta wynosi 31%, a dla kobiet 64%! Liczby te są rewelacyjne. W tej chwili stan oświaty na Polesiu formalnie nie wiele odbiega od oświaty na Wołyniu. Inna sprawa, że analfabeta wołyński czy też z innych okolic Polski może być niejednokrotnie bardziej rozgarnięty i obywatelsko obyty niż umiejący czytać i pisać Poleszuk. Jednakowoż sens powyższych liczb tkwi w tem, że zmieniają one przede wszystkim Poleszuka, jego stosunek do świata. Poleszuk teraźniejszy zmienia się na skutek nauki w szkole, prócz tego wywiera na niego kolosalny wpływ w kierunku pozytywnym służba w wojsku. Na wsi poleskiej coraz częściej można spotkać radioodbiornik, można spotkać ludzi abonujących czasopismo. A jeden radioodbiornik może w ciągu kilku lat do gruntu przemienić całą wioskę. Doniosłą rolę w dziedzinie rozwoju umysłowego mieszkańców Polesia odgrywają organizacje społeczne, organizowanie ludzi w kierunku zbiorowych form działania.

Każdy kto wybierze się na Polesie i porówna stosunki, panujące na przykład w produkcji obecnie, ze stosunkami z przed kilkunastu lat, z łatwością stwierdzi, iż pomału Poleszuk wyzwala się ze swego prymitywizmu. Mam tu na myśli na przykład hodowlę, która poczyniła niewątpliwe postępy przede wszystkiem pod względem jakości hodowanego inwentarza.

Mnożą się więc koryta, którymi płynie oświata do Poleszuka. Pod jej wpływem budzić się w nim zaczyna krytycyzm w odniesieniu do tego co widzi, a przede wszystkiem do potwornej nędzy, do form bytowania równych życiu pariasa. Poleszuk zaczyna zdawać sobie sprawę, że to co jest, jest źle i że tak być zawsze nie może, że musi nastąpić jakaś zmiana choć nie ma może jeszcze w swej wyobraźni konkretnych form, w jakich miałaby się zamknąć owa zmiana.

Na razie Poleszuk żyje jakby w pół - śnie, ukształtowana pod wpływem przyrody pasywność głęboko wrosła się w jego psychikę. Proces „aktywizacji" myślenia Poleszuka postępuje wszakże naprzód, przynosząc mu tęsknotę do lepszych warunków życia. Pod pozornym spokojem i obojętnością narasta w Poleszuku fala niezadowolenia, która może wywołać groźne konflikty. Tragedią Polesia jest to, iż na razie nie widać perspektywy przebudowy od podstaw tego terenu, która zacząć się powinna od jego osuszenia. Czy wszakże można się zgodzić z faktem nędzy Poleszuka i czekać, aby te sprawy „same się ułożyły"? Rzecz prosta, — że nie można i że — jeśli *na razie* nie można nic dokonać poziomo, to trzeba dokonać pionowo. Trzeba prowadzić pracę wgłąb, drogą organizowania i usprawnienia gospodarstw wiejskich i wyszukiwania źródeł dochodu, przy warunkach, które obecnie istnieją. Nie można jednak zostawić Polesia „naturze" i jej prawom.

Rodzi się więc na Polesiu nowy człowiek, świadomy swej nędzy i buntujący się (na razie może po

cichu) przeciwko niej. Budzi się energia, której *hamowanie* oznaczałoby politykę samobójczą, a której *nie wyzyskanie* w kierunku konstruktywnym — to drugie samobójstwo. Polesie zatem przeobraża się, tylko niestety nie zmienia się nasz do niego stosunek.

Al. Kwiatkowski.

NAUKA KILKU DNI

Trzy dni: rocznica konstytucji marcowej oraz imieniny marszałków obchodzone były w roku bieżącym w sposób zgoła osobliwy. Z tych kilku dni bogatą i różnorodną można wysnuć naukę. My jednak jedynie, gospodarcze doświadczenia w tej chwili będziemy rozpatrywali.

Dwa fakty rzucają się w oczy: Run na wkłady i giełda.

Run był. Właściwie nie run a runik i to tylko na zbiornice oszczędności. A więc na P. K. O., na obie K. K. O. i na Szereszewskiego. Runik był względnie łatwy do opanowania. Na banki runu nie było. N. b. niezwykła płynność banków objawia się w wywieszanych właśnie teraz ogłoszeniach o udzielaniu pożyczek p. zastaw walorów.

Wniosek: banki przestały być zbiornicą kapitałów płochliwych. Przestały być skarbonką drobnych ludzi. Są natomiast miejscem depozytu tych wkładców, którzy rezerwy kasowej nie trzymają w kieszeni, a właśnie w banku, którzy płacą nie gotówką, a czekiem przelewowym.

Giełda zareagowała spadkiem kursów, ale względnie niewielkim. Być może że dla ostrzejszej reakcji giełdy przebieg uroczystości zakończył się zbyt prędko. Rocznica pokoju ryskiego przypadła na niedzielę, a w poniedziałek kursy i sytuacja już były opanowane.

Ale jest i inne tłumaczenie: płochliwi wkładcy nie rzucali akcji ani obligacji na rynek, bo ich już nie mieli. Są one w mocnych rękach.

A więc?

Związek ludzi zarobkujących i ciułających z zasilaniem życia gospodarczego nie istnieje. Ich ciułanie obracane jest więc na inne lokaty.

C. b. d. d.

k. o.

P. S. Tylko skąd ma średni i drobny przemysł czerpać nowe środki? Chyba jedynie z autofinansowania lub z zapomóg państwa. Ależ to metody wybitnie ciężkiego przemysłu.

Stan rynku oszczędnościowego jest jednym z czynników utrwalających dzisiejsze dysproporcje. Samo zejście Ciał Publicznych z rynku pieniężnego jeszcze nie załatwia sprawy.

k. o.

W numerze 6 Gosp. Nar. z dn. 15.III. opuszczony został w uwadze p. t. „Pachciarze interwencjonizmu" podpis p. Adama Wolmara.

Redakcja.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" ALEKSANDER KWIATKOWSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.